

Piękne amazonki. Ich wygrana wojna z rakiem



Trzy kobiety, trzy historie, trzy bitwy, trzy wygrane i jeden przegrany – rak. Panie Joanna, Ryszarda i Małgorzata opowiedziały nam o tym, jak można wygrać z rakiem piersi.



Pani Joanna: rak był dla mnie znakiem, abym zmieniła swoje życie

Pani Joanna na nowotwór piersi zachorowała, gdy miała 43 lata. Kilka lat wcześniej z tą samą chorobą zmagala się jej mama.

– Przed chorobą mamusi sądziłam, że mnie to nie dotyczy, że ja nigdy nie zachoruję na raka, ale gdy choroba dotknęła najbliższą mi osobę, w jednej chwili zmieniłam zdanie.

Pani Asia nauczyła się samobadania i regularnie, co miesiąc, sprawdzała swoje piersi. I właśnie podczas jednego z takich badań wyczuła małego guza.

– Trafiłam do onkologa. Wtedy jeszcze nie wykonywano tak od razu badań ultrasonograficznych i biopsji. Usłyszałam, że muszę czekać. To był niewielki guzek.

Po kilku tygodniach pani Asia otrzymała wyniki biopsji. Guz miał tylko 4 mm i został wykryty w bardzo wczesnym stadium. W związku z tym pacjentce zaproponowano wybór metody leczenia.

– Propozycje były dwie: albo operacja oszczędzająca, która wiązała się z późniejszą chemio- i radioterapią, albo mastektomia. Wybrałam całkowitą amputację piersi. Wiedziałam, że zostanie dokładnie zbadana, a ja chciałam mieć pewność, że wszystko jest w porządku, nie chciałam się bać. Węzły miałam czyste, jednak one także zostały usunięte. Po operacji przeszłam na hormonoterapię. Teraz już



Dla Pani Joanny rak był znakiem, by zmienić swoje życie, by się zatrzymać, zwolnić, nie zaprzętać sobie głowy niepotrzebnymi sprawami i docenić życie takim, jakie jest. Dzisiaj jest pełną energią, promienną i zadowoloną z życia żoną, mamą i babcią.

fot. Sebastian Wołosz

się tak nie robi. Jeśli nie ma zmian w węzłach, to się ich wszystkich nie usuwa, ale 17 lat temu było inaczej.

Po operacji pani Asia bardzo szybko wróciła do formy. Po sześciu dniach od wyjścia ze szpitala trafiła do klubu Amazonek. Tam pod okiem rehabilitantek i specjalistów wracała fizycznie do zdrowia.

Każdy kolejny dzień był dla pani Joanny jak nowe życie; co rano dziękowała za to, że żyje. Jednak te dni były także ciągłym czekaniem, sprawdzaniem i czuwaniem.

– Lekarze zapewniali, że wszystko jest dobrze, że to był mały guzek i nie mam się czego obawiać, ale każde badanie było dla mnie wielkim stresem. Czasem zdarzało się, że lekarz podczas USG zatrzymał się na chwilę, wtedy serce podchodziło mi do gardła. Dopóki nie minęły cztery lata, bo tyle żyła moja mama od chwili rozpoznania, to gdzieś tam, cały czas się denerwowałam. Na początku obchodziłam każdą miesięcznicę, rocznicę, a teraz muszę się zastanowić przez chwilę, ile to już lat upłynęło.

Dzisiaj pani Joanna jest pełną energią, promienną i zadowoloną z życia żoną, mamą i babcią. Po kilku latach walki z rakiem zupełnie przewartościowała swoje życie. Chociaż od rozpoznania do operacji minęło niewiele czasu, to pani Joanna z rakiem nie pożegnała się jeszcze przez kilka dobrych miesięcy.

– Przez chorobę chciałam przejść sama. Nie kazałam mężowi wracać z morza, córce napisałam tylko list, druga córka miała zdawać maturę, więc nie chciałam jej za bardzo obciążać. Teraz wiem, że to było złe. Przeszłam przez terapię z psychologiem, z nim wykrzyczałam światu, że miałam raka, wyplakałam się jak dziecko i ciężar odszedł. W tej chorobie nie można zostawać samemu, nawet jeśli się tego chce. Gdybym wtedy miała taką wiedzę jak dzisiaj, to mąż pewnie wróciłby z rejsu najszybciej, jak tylko by mógł. Choroba była dla mnie ostrzeżeniem przed tym, co mogę stracić. To był dla mnie znak, że należy się zatrzymać, zwolnić, nie zaprzętać sobie głowy niepotrzebnymi sprawami i docenić życie takim, jakie jest.

Pani Ryszarda: przecież ja nie miałam zachorować na raka

– Swoje życie zawdzięczam po dwakroć mojej mamie – opowiada pani Ryszarda.
 – Gdy ona zachorowała na raka, ja zaczęłam się badać. Postanowiłam, że nie dam się tej chorobie. Badałam się bardzo skrupulatnie, co pół roku robiłam badanie USG.

W listopadzie 1996 roku pani Ryszarda znowu się wybrała na takie właśnie badanie. Wynik nie wykazywał niczego złego. Kobieta była jednak dziwnie niespokojna i, jak się później okazało, miała słuszny powód. Pół roku po badaniu była już po mastektomii jednej piersi.

– Na pierwszym USG widoczne były niewielkie zmiany. Lekarka zaleciła poddanie się biopsji. Lekarz, który ją wykonał stwierdził, że nic złego się nie dzieje. Niestety i na szczęście – pani doktor, która zrobiła mi USG, potwierdziła swoje podejrzenia.

Płacz, żal i niedowierzanie, że akurat rak spotkał też i ją. Tę, która miała nie zachorować. Przecież robiła wszystko, aby się ustrzec, badała się, poszerzała swoją wiedzę, była ostrożna, a i tak choroba ją dotknęła. O tym, że ma raka, pani Rysia od raz powiedziała swojemu mężowi, po kilku dniach poinformowała też synów.

– Córce nie potrafiłam tego powiedzieć, nie umiałam – wspomina. – Po wszystkim przyznała mi się, że podejrzewała, co się dzieje, widziała jak płaczę, słyszała rozmowy, miała do mnie żal, że jej nie powiedziałam. A dla mnie to było strasznie trudne.

Operacja miała obejmować tylko te niewielkie zmiany. Jednak wyniki badania śródoperacyjnego nie pozostawiały wątpliwości. Trzeba było usunąć całą pierś. Pani Ryszardzie wykonano drugą operację – mastektomię.

– Nie zastanawiałam się ani chwili, gdy zapytano mnie, czy się zgadzam na amputację piersi. Miałam sześćioletnią córkę, dwóch synów i musiałam dla nich żyć.

Brak piersi nie był dla pani Ryszardy niczym złym. Nigdy nie pomyślała o sobie,

Pani Ryszarda była przekonana, że nigdy nie zachoruje na raka. Po mastektomii nie chciała z nikim rozmawiać, nikomu się pokazywać. Przełamała się dopiero po kilku tygodniach. Poszła na spotkanie do Amazonek. I tak przychodzi tam do dziś.

fot. Sebastian Wołosz



że nie jest prawdziwą kobietą, bo nie ma dwóch piersi. Dla niej liczyło się to, że żyje, że mąż akceptują i kocha ją taką, jaka jest, a dzieci mają szczęśliwą i zdrową mamę.

– Oczywiście, na początku uważałam, że stało się coś bardzo złego. Pamiętam, że poddawałam wszystkie letnie sukienki, nie chciałam chodzić z odkrytymi ramionami i dekoltem, bałam się, że wszyscy będą widzieć, że nie mam piersi. A okazało się, że tego wcale nie widać, mogłam nosić ulubione sukienki i wyglądać jak kobieta. Ale muszę się przyznać, że obsesyjnie zaglądałam kobietom w biust, a nigdy wcześniej tego nie robiłam – śmieje się pani Rysia.

Po powrocie ze szpitala pani Ryszarda nie chciała z nikim rozmawiać, nie chciała nikomu się pokazywać.

– Mąż mnie namawiał, żebym poszła do stowarzyszenia, ale ja jakoś nie mogłam wyjść z domu, nie chciałam z nikim rozmawiać, unikałam telefonów. Byłam zła na świat, że tak się stało. Na szczęście w tym wszystkim miałam oparcie w rodzinie, która nie pozwoliła mi na to, abym siedziała sama w domu.

Po kilku tygodniach pani Rysia przełamała się i poszła na spotkanie do Amazonek. I tak przychodzi tam do dziś. Po tych wszystkich latach wie, że nie jest sama, że może liczyć na swoją rodzinę, ale także na przyjaciółki ze stowarzyszenia i specjalistów, którzy cały czas czuwają nad jej zdrowiem.

Pani Małgosia: dzisiaj jest najpiękniejszy dzień mojego życia

Pani Małgorzata jest po mastektomii prawej piersi. Przed i po operacji brała chemioterapię, chodziła także na radioterapię. O tym, że ma raka, dowiedziała się w wieku 50 lat.

– Co dwa lata chodziłam na mammografię, zawsze uważałam, że to ważne badanie – opowiada pani Małgorzata. – W czerwcu 2004 roku wyniki mammografii były prawidłowe. Miałam zwyczaj samobadania, ale po wycięciu przydatków, zapomniałam o tym. W kwietniu 2005 roku, podczas samobadania piersi, wyczułam pod palcami wielkie „coś”.

Pani Małgosia od razu postanowiła sprawdzić, czym owo „coś” jest. Ruszyła do boju. Jak się okazało – na ciężką wojnę z rakiem. Dwa miesiące po tym, jak wyczuła guza, miała podaną pierwszą chemię przedoperacyjną.

– Miałam bardzo duży współczynnik przyrostu raka, dlatego, żeby operować, trzeba było najpierw go zmniejszyć.

Chemia była dla pani Małgosi bardzo ciężkim leczeniem. Z każdą dawką czuła się coraz gorzej, szpik był osłabiony, leczenie trzeba było wspomóc sterydami.

– Przed operacją miałam cztery dawki chemii. Po ostatniej przyjęto mnie do szpitala. Następnego dnia po przyjęciu, miałam być operowana. Zrobiono mi badania, które wykazały, że mam za mało białych krwinek i operacja nie może być przeprowadzona, bo organizm sobie nie poradzi.

Przez kilka dni chorej podawano kroplówki, które miały ją wzmocnić. Walka była trudna. Gdy tylko okazało się, że organizm się regeneruje, pani Małgorzata została zoperowana.



Pani Małgosia w kwietniu 2005 roku, podczas samobadania piersi, wyczuła pod palcami wielkie „coś”. Dzisiaj, po długiej i ciężkiej walce z chorobą, każdy dzień uważa za najpiękniejszy w życiu.

fot. Sebastian Wołosz

– Po operacji miałam mieć cztery cykle chemii. Po dwóch pierwszych mój organizm znowu nie dawał sobie rady, otrzymywałam sterydy. Trzecia chemia mogłaby mnie zabić... Nie rak, a chemia... Ale ja się nie poddałam.

Po chemioterapii była radioterapia. Długa walka zakończyła się powodzeniem. Pani Małgosia zaczęła zastanawiać się nad rekonstrukcją piersi. Jednak w jej przypadku oznaczałoby to kolejne operacje.

– Po radioterapii należy zrobić przeszczep mięśnia, później wszczepienie ekspandera, czyli jakieś 3-4 operacje. Nie wiedziałam, czy chcę przez to przechodzić. Ale nim się nad tym na dobre zastanowiłam, nastąpiły powikłania po radioterapii – zakrzepica żylna.

Ręka pani Małgosi nie mieściła się w żadną bluzkę, była opuchnięta, nie można było wykonywać nią żadnych ruchów. To były kolejne tygodnie walki z chorobą i z własnym ciałem.

– Dzisiaj lekarze mówią, że nie ma żadnych przeciwwskazań do tego, aby zrekonstruować moją pierś, ale ja tego nie potrzebuję. Cieszę się, że wyszłam z choroby, że moja ręka wróciła do formy. Samoprzylepna proteza wystarcza mi w zupełności.

Pomimo ciężkiej walki, pani Małgosia ani razu nie zawahała się, jaką decyzję podjąć. Od razu była zdecydowana na leczenie, nie bała się chemii. W tej walce cały czas wspierała ją rodzina. Z mężem udała się już na pierwszą konsultację. Nie bała się tego, że będzie mniej atrakcyjna jako kobieta, nie miała obaw przed tym, że wypadną jej włosy. Wiedziała, że chce żyć i to nią kierowało.

– Lekarz mi powiedział, że cóż po piersiach, gdy można przez nie umrzeć; a życie bez piersi, to ciągle życie... To były chyba najlepsze słowa, jakie mogłam usłyszeć. Moje motto na co dzień brzmi: „Dzisiaj jest najpiękniejszy dzień mojego życia”. I tak staram się żyć.